Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 23 Września 1900.

Plon tegoroczny.

Wedle cyfr zestawionych przez statystyków tegoroczny plon pszenicy mniejszy jest od zeszłorocznego o jedną jedenastą tj. o 30 milionów kwarterów, a że zapasu z roku zeszłego pozostało około 25 milionów, potrzeba zaś będzie światu pszenicy w r. 1900|1901 325 milionów, więc właściwie pszenicy by nie zabrakło wcale, gdyby nie to, że przecież nie można wszystkiego do ostatniego ziarnka wybrać z zapasów.

Gorzej jest ze żytem, bo tego plon z zapasami oceniają na 178 i pół miliona kwarterów, a potrzeba go 182 milionów

Jęczmienia plon z zapasem wynosi 111 milionów kwarterów, a potrzeba 117 mil.

Tak samo owsa będzie bardzo skąpo. Za to kukurudzy będzie cokolwiek po nad potrzebę.

Beerboohm, jeden ze statystyków układających zestawienia roczne co do zboża, zaznacza że trudno dziś już przesądzać o plonie Argentyny i Australii, których żniwa przypadają na grudzień.

Zastrzeżenie to tembardziej jest uzasadnione, że Argentyna w ostatniej kampanii światu plonami swoimi nadmiernymi wielką zrobiła niespodziankę, a zasypując rynki pszenicą, przyczyniła się bardzo do obniżenia cen wszystkich zbóż.

Beerboohm tedy w zestawieniu swojem, co do spodziewanego plonu pszenicy, przyjmuje plon tegoroczny jako równie wysoki jak zeszłoroczny, który był najwyższy ze wszystkich, jakie Argentyna dotychczas miała. To samo czyni z Australią. Nareszcie plon Rosyi, który też trudno ocenić, przyjmuje w wysokości zeszłorocznej i do następnej cyfry dochodzi, robiąc porównanie z faktycznie stwierdzonym rezultatem pięciu lat poprzednich: w Europie i poza nią 309 mil. kwarterów.

Szacowanie Beerboohma co do ogólnego rezultatu nie wiele się różni od oceny zrobionej w ministerstwie węgierskiem, bo jedynie o 4 mil. kwartr. czyli $1^{1}/_{3}\%$. W każdym razie obydwa sprawozdania stwierdzają różnicę w plonie w porównaniu z zeszłorocznym przeszło o 20 mil. kwarterów, czyli 7–8%. Zdaje się, że na lepsze już się ten stosunek nie zmieni, natomiast może zmienić się na gorsze, jeżeli Argentyna, Australia, Indye a przedewszystkiem Rosya nie będą miały plonu równie obfitego jak zeszłoroczny, co bardzo jest rzeczą prawdopodobną.

Cyfry dotychczasowego ruchu zbożowego potwierdzają do pewnego stopnia słuszność tych szacowań.

Europie potrzeba na r. 1900|901 42 mil. kwarterów ogółem czyli 810.000 kwrtr. na tydzień.

Z krajów eksportowych Stany Zjednoczone i Kanada nie będą mogły dostarczyć Europie więcej, niż 16 mil. kwrtr. po za $3^{3}/_{4}$ mil. kwrtr. które z tych krajów wychodzą do krajów poza europejskich. Rosya, która w zeszłym roku eksportowała 7 mil. kwrtr. powinna dostarczyć 10 mil. księstwa naddunajskie 6 mil. co razem czyni 32 mil. tak, iż Argentyna i Australia jeszcze powinny dostarcryć 10 mil. kwrtr. co jest dla nich zadanie niemałe.

W takiem położeniu zwyżka cen najmniej o 10—15% byłaby zupełnie uzazadnioną. Na rynkach też angielskich to samo panuje przekonanie. Notowania ostatnie w porównaniu z tymże terminem 1899 roku w Londynie były wyższe.

W Ameryce świeżo ogłoszone zostało sprawozdanie ze stanu zasiewów kukurudzy. Pogorszył się w porównaniu z sierpniem, toteż w New-Yorku notują obecnie kukurudzę znacznie wyżej niż w r. 1899.

Nowa wyprawa angielska.

Państewko Kano, w Afryce środkowej, dawniej stanowiące część Haussy, obecnie znajdujące się w zależności od królestwa Sokoto, leży w północnej części Nigeryi i wedle umowy anglo-francuskiej z r. 1898. ustanawiającej granice między tym krajem a Saharą. zalicza się do sfery wpływu interesów angielskich.

W celu zawiązania bliższych stosunków z władcą miejscowym i olśnienia go blaskiem potęgi Wielkiej Brytanii, znany z poprzednich swych podróży misyonarz anglikański biskup Tungwell, wyruszył na czele licznej wyprawy z poblizkich posiadłości Royal Niger Company, dążąc do stolicy państewka, również noszącej nazwisko Kano, a będącej miastem znacznego handlu przewozowego, rynkiem wielkich targów i posiadającem ludności przeszło 40.000.

Powiadomiony o rozruchach i pierwszych klęskach angielskich w krainie Aszantów, rozzuchwalony król Kano, gdy wyprawa Mr. Tungwella zjawiła się na granicach jego państwa, wydał rozkaz, by nieproszonych gości z drogi zawrócić. Wysłańcy jego murzyńskiej mości minęli się w drodze z karawaną angielską i Tungwell pojawił się pewnego dnia niespodziewanie przed bramami Kano, znajdującemi się wraz z murami w odległości dwóch mil angielskich od zabudowań mieszkalnych miasta.

Po parodniowych pertraktacyach król zgodził się wreszcie przyjąć u siebie wyprawę i biskup Tungwell wraz z towarzyszami został dopuszczony przed oblicze władcy. Doznane przyjęcie nie odpowiadało bynajmniej pokładanym przez organizatorów wyprawy nadziejom. Wysłuchawszy zaledwie w części mowy powitalnej król począł narzekać w sposób może niekoniecznie parlamentarny na obcych ludzi, nawiedzających bez potrzeby kraj jego. Oświadczył wprost, że nie chce już żadnych kaznodziei ani lekarzy, gdyż w koranie (w krainach tych rozpowszechniona jest ogólnie wiara mahometańska) znajdzie wszystkie przepisy leków wraz z właściwymi dla niego i narodu jego zasadami moralności.

Podniecony (może pod wpływem cywilizacyjnego alkoholu) król przerywał dość często swoje słowa. Wówczas rozlegały się po izbie głosy dworzan, wołających: „lew! lew!“ (zaki) oraz okrzyki derwiszów: „Allah ya ba ka sawan rai“ (Niech Bóg obdarzy cię długiem życiem“.

Ze względu na wyczerpane siły i brak żywności wyprawy angielskiej król dozwolił Tungwellowi pozostać w mieście pyzez 3 dni, ktore chytry podróżnik potrafił za pomocą różnych forteli, przedłużyć do tygodnia. Siódmego dnia oświadczono mu kategorycznie, że jeżeli przed zachodem słońca wyprawa nie znajdzie się poza murami miasta, wszystkich członków jej dotknie kara ścięcia głowy, widowisko ich śmierci zaś ze względu na ich znaczną liczbę, stanowić będzie dla ludu znakomite uświetnienie uroczystości narodowej. Nie podzielając tych poglądów obywateli Kano, tego samego dnia Mr. Tungwell opuścił mury niegościnnej stolicy i pospiesznym marszem dotarł do posiadłości angielskich.

Osobliwości wystawowe.

Celem głównym każdej wystawy jest pouczenie ludzi o postępie dokonanym na rozmaitych polach działalności ludzkiej. Takiż sam cel ma także wystawa paryska, ale Francuzi obok nauki chcieli także gościom swoim zapewnić rozrywkę. Zbudowali też na wystawie mnóstwo pawilonów i postarali się o liczne urządzenia „przyciągające“. Do takich należy panorama podróży naokoło świata. Mieści się ona w okazałym budynku w pobliżu wieży Eifla, w miejscu, gdzie pole Marsowe niemal dotyka Sekwany. Nad budową jej pracowano niemal trzy lata. Fasadę zdobią najdziwaczniej, ale efektownie pogmatwane fragmenty architektur egzotycznych: indyjskiej, chińskiej i innych. Sama struktura zewnętrzna musiała kosztować bajońskie sumy. Może dlatego mniej imponuje strona wewnętrzna.

Zapowiadano cuda, ale z tych obietnic mało co się spełniło. Na płótnie panoramy widać wieś chińską, tuż obok — bez żadnego odgrodzenia — indyjską, potem Bosfor, Ateny z Akropolią i kawałek Hiszpanii. Malowane to wszystko jest nieszczególnie, Bosfor np. wygląda na kałużę farbki używanej do prania bielizny i trzeba bardzo dobrze przypatrzeć się Atenom, aby rozpoznać z nich cokolwiek.

Panorama jest zresztą tylko reklamą kompanii „Des Messageries“ pokazującą tu porty, w których wylądowują jej okręty, ale reklama nie bardzo się udała. Wątpić można, czy rozpaliła żądze podróżnicze w widzach. „Jeśli tak wygląda podróż naokoło świata — powie sobie niejeden — to lepiej siedzieć cicho w domu“.

Panorama posiada swoje własne „clou“. Przed zamalowanem płótnem siedzą reprezentanci różnych dzikich nacyi w oryginalnych kostyumach. W dziennikach dużo pisano o wyprawie p. Desmoulins'a, twórcy panoramy, której to wyprawy celem było zebranie jaknajpiękniejszych okazów każdego szczepu. I pod tym względem nie dopisało mu powodzenie. Swoją drogą są sceptycy, którzy kolebkę zebranych dzikusów ośmielają się odgadywać na Montmarte, lub którem innem z przedmieść paryskich.

Nadzwyczaj dowcipnie urządzony jest okręt, którym podróżni dokonują na wystawie owej „podróży naokoła świata“. Na olbrzymim wale żelaznym, osadzonym w murowanej podstawie znajduje się imitacya okrętu. Wał ów porusza maszyna parowa w ten sposób, że okręt nabiera ruchu zupełnie takiego samego, jak statek na morzu. Złudzenie powiększa jeszcze woda, otaczająca okręt. Znajdującemu na nim wydaje się, jakby istotnie płynął po morzu. Niektórzy pasażerowie zapewniają nawet, iż pomimo woli doznają uczucia, zakrawającego na... morską chorobę.

Do urządzeń, cieszących się nadzwyczajnem powodzeniem i rzeczywiście zasługujących na pochwałę, zaliczyć trzeba „globus olbrzymi“ zbudowany pod kierunkiem słynnego geografa Reims'a. Jest to kula olbrzymia, mająca 28 metrów średnicy. Zewnątrz wymalowano na niej cały gwiazdozbiór ze wszystkiemi znakami. Wewnątrz zaś przedstawiono, naturalnie w zmniejszeniu, powierzchnię kuli ziemskiej.

Do zwidzenia tej powierzchni urządzono kręte galerye w ten sposób, że każdy w ciągu godziny może obejść do około kulę ziemską, a z podróży tej wyniesie znajomość gór i dolin, mórz i oceanów.

Innego rodzaju, ale niemniej interesującą jest podróż, na „wielkiem kole“ która jednakże różni się tem od znanych „młynów dyabelskich“ że urządzone jest w ogromnych rozmiarach.

Pomysł to wprawdzie nie nowy, bo pierwsze takie koło figurowało już na wystawie w Chicago, paryskie przewyższa jednak tamto potwornymi swymi rozmiarami i chociaż obliczone na przynętę szerszych tłumów, jest przecież ciekawem, jako wyraz tego, co stworzyć może dzisiejsza technika. „Wielkie koło“ jest dziełem angielskiego inżyniera Slitsona. Zbudowano je ze stali, której zużyto 800 beczek. Oś koła, mająca 15 metrów długości, a 90 ct. średnicy, wznosi się na 67 metrów ponad ziemią, średnica ma 93 metrów, a wagony, wiszące na obwodzie, dochodzą do wysokości 96 m. w punkcie najwyższym podczas obrotu. Na obwodzie koła zawieszonych jest 40 wagonów, z których każdy pomieścić może 30 osób, czyli razem wszystkiego 1.200 osób. Prócz tego, pomiędzy obu dzwonami umieszczone zostały inne, znacznie większe wagony, przeznaczone na sale jadalne, kawiarnie, palarnie, czytelnie, salę koncertową, gabinety służące do badań meteorologicznych itp. Wszystko urządzono wewnątrz z niebywałym przepychem i wygodami, mogącemi zadowolić najwybredniejszego sybarytę.

Do wprawienia w ruch tego olbrzyma służy machina dynamo-elektryczna zaopatrująca zarazem lampy, któremi całe koło wieczorem bywa oświetlane. Jakkolwiek to zdumiewające dzieło techniki w dzień nie bardzo estetycznie wygląda i może dla tego zostało oddalone od placu wystawy, gdzie cuda politechniki starano się przybrać w jaknajgustowniejsze kształty, to jednak w nocy efekt jest niezwykły, kiedy nikną szczegóły konstrukcyi, a jedynie na tle nieba błyszczy świecąca tarcza olbrzymia, jak gdyby jakiś świetny meteor zawitał na ziemię z tajemniczych przestrzeni wszechświata. Koło obraca się bardzo wolno, a z niem i wagony idą w górę a następnie opuszczają się ku dołowi. Podróż ta ma na celu zapoznanie ciekawych z całą panoramą Paryża, istotnie bowiem z chwilą, gdy wagon znajduje się na najwyższym punkcie, widać niemal cały Paryż.

Wsiadłszy do wagonu na dole, dokonuje się takiej oryginalnej wycieczki w ciągu pół godziny.

Cudowne dziecko.

Na imię mu było Józio. Ojciec jego był słynnym na okolicę grajkiem i jeszcze słynniejszym koniokradem, umarł w więzieniu. Matka, piękna córka szynkarza, po śmierci swego grajka, poszła w świat i nikt już jej w stronach rodzinnych nie widział.

Sierotą zaopiekowała się siostra matki, ciotka Katarzyna, która stanowiła chlubę rodziny, gdyż w karyerze swej doszła do stanowiska... kasyerki teatrzyku ogródkowego. Ciotka wkrótce doszła do przekonania, że w chłopcu znalazła skarb. I rzeczywiście, mały Józio odziedziczył po rodzicach wszystko, co mieli najlepszego: po matce śliczne, czarne oczy i uśmiech uroczy, po ojcu — talent muzyczny.

Bawiąc się jeszcze w piasku budował sobie z deseczki i nitek skrzypeczki, których z rąk nie wypuszczał. Kącik pod drzewem, stojącem blizko sceny, był jego jedyną szkołą, a pomimo to, w szóstym roku życia grał jak pierwszy skrzypek orkiestry ogródkowej.

Na zdolności Józia zwróciła ciotka uwagę „pana radcy“ mecenasa muzy ogródkowej i wielbiciela podszarzanych nieco wdzięków ciotki Katarzyny. „Pan radca“ zajął się troskliwie „cudownem dzieckiem“ tak, że wkrótce mały Józio mógł z ciotką wyjechać do Paryża na dalszą naukę. Niestety, pomoc materyalna, ofiarowana przez pana radcę. starczyła zaledwie na podróż, w Paryżu zaś znalazł się Józio z ciotką bez pieniędzy. Na szczęście, udało się ciotce wyrobić mu występy w jakiemś Café-chantant, zkąd przeszedł do grywania po domach prywatnych. Wte-

---

18

Kto winien?

przez

Caruthersa.

(Ciąg dalszy.)

— Sam do tego ręki nie przyłożę, panie Chetwynd, tylko nie przeszkodzę naturalnemu biegowi wypadków — brzmiała odpowiedź. Wątpię zresztą, czy chciałbyś pan zaciągać obowiązki wdzięczności wobec człowieka, którego pozbawiłeś największego szczęścia. To nie licuje ze szlachetnością pańskiego charakteru.

— Tak pan mówisz, panie hrabio, jak gdyby zezwolenie Izabeli było tylko ode mnie zależnem; przyznaję, że gdyby była pana przyjęła, nie miałbym nic przeciwko temu, ale ona pana nie kocha, a za żadne skarby nie chciałbym wpływać na jej decyzyę w tym względzie. Już to panu raz oświadczyłem przy naszem pierwszem widzeniu.

— A więc odmawiasz mi pan swego wstawienictwa, panie Chetwynd?

— Zdaję się na wolę Bożą.

— Po raz ostatni pytam, czy zmusisz mnie pan do użycia mojego wpływu na doktora Kaskawicza?

— Doktor Kaskawicz może zeznawać co zechce.

Drzwi od sypialnego pokoju otworzyły się nagle.

Na progu stanęła Izabela. Na jej bledziutkiej twarzy malowało się postanowienie niezłomne.

— Kaskawicz musi milczeć — rzekła powoli, z naciskiem. — Hrabio Pohiticz, użyj swej władzy dla wyprowadzenia mego ojca z tej strasznej sytuacyi, a... zgodzę się zostać twoją żoną.

— Izabelo! — zawołał hrabia, zbliżając się do niej nieśmiało.

Podała mu rękę, wziął ją pokornie i podniósł do ust, potem odszedł do okna, aby ukryć wzruszenie.

Leslie, patrząc na to, osłupiał.

— Moje dziecko! — zawołał nagle — cóżeś uczyniła?...

— Spełniłam tylko obowiązek, mój ojcze.

Powiedziawszy to, Izabela znikła z salonu. Hrabia zapanował nad sobą.

— Wiedziałem — rzekł — że moja ukochana przybyła do Paryża od jednego z moich przyjaciół, który ją znał z Anglii i jechał z nią teraz w jednym wagonie z Amiens. To też całe dnie spędzałem w cukierni naprzeciw domu państwa, wpatrując się w okna. Kilka razy widziałem swoje bóstwo na balkonie. Więc Izabela będzie moją nareszcie... Wstydzę się jednak roli, jaką w tem odegrałem.

— Jest się czego wstydzić — pomyślał Leslie. — Czyż sądzisz pan — rzekł głośno — iż przyjmę taką ofiarę, że będę mógł żyć spokojnie, wiedząc, iż spokój i bezpieczeństwo zawdzięczam ofierze ukochanego dziecka, które dla wyratowania mnie od sromoty, chce oddaś swą rękę człowiekowi niemiłemu?

Ta szlachetność uczuć zdziwiła hrabiego Pohiticza; nie spodziewał się takiego braku samolubstwa.

— Zaufaj mi, panie Chetwynd — rzekł — Izabela mnie pokocha; uczynię, co w ludzkiej mocy, aby dopiąć tego upragnionego celu. Zgadywać będę jej myśli, uprzedzać jej życzenia, zadawalać jej kaprysy. Zdobędę ją miłością wytrwałą, tkliwą. Znajdzie we mnie najczulszego męża.

Skrupuły Chetwynda pierzchły, rozwiane przez wymowę zakochanego młodzieńca.

Prosił o czas do namysłu. Hrabia miał otrzymać stanowczą odpowiedź nazajutrz. Był jednak spokojny. Wystarczała mu obietnica Izabeli.

Na decyzyę Chetwynda wpłynął list, donoszący mu o nagłej śmierci sir Godfryda.

Jego spadkobierca odbierał mu rentę, wypłacaną przez nieboszczyka.

Był to ostatni cios i przepełnił miarę. Pozycya rodziny stawała się rozpaczliwą. Z jednej strony czyhała nędza, z drugiej gilotyna.

IX

Kaskawicz wezwany jest przed sędziego śledczego.

— Nie mogę i nie chcę przyjąć twojej ofiary, Izabelo — mówił ojciec — nie mam prawa rozporządzać twoją ręką, a to tembardziej, że jesteś już narzeczoną pana Dennysona. Zezwoliłem na to małżeństwo; nie wolno ci go zerwać. Honor powinien nam być droższym nad życie.

Na wspomnienie Dennysona biedaczka zbladła śmiertelnie; oczy jej napełniły się łzami.

— Nie mogę w żadnym razie zostać żoną Edwarda — rzekła z rozpaczą.

Te słowa wyjaśniły ojcu straszną sytuacyę. Gdyby go aresztowauo i uznano winnym, Edward Dennyson nie poślubiłby córki zbrodniarza, skazanego na galery.

— Rozumiem cię, biedaczko — rzekł Leslie ze smutkiem głębokim. — Co za okropne położenie.

W chwili tej zapukano do drzwi trzykrotnie. Wszedł Willie, niosąc list do ojca. Pismo brzmiało w te słowa:

„Szanowny Panie!

„Jutro o dwunastej, suma, którą mi pan powierzyłeś do przechowania, zostanie złożoną w banku francuskim. Popołudniu będę miał zaszczyt odwiedzić państwa.

Z szacunkiem
Pohiticz“.

Trudno było w delikatniejszy sposób oddać pieniądze, równoważące wygranej, a zarazem okazać większą ufność.

Leslie, bez narażenia się na niebezpieczeństwo wśród tych okoliczności nie mógł się zgłosić po wielki los.

Powinien był raczej unikać uwagi publicznej, niźli ją zwracać na siebie.

Hrabia zyskiwał w mniemaniu ojca swej ukochanej. Ten krok dyplomatyczny rozstrzygnął o przyszłym związku. Pohiticz uczynił go z tem wyrachowaniem: obliczał sobie, że Chetwynd nie może przyjąć pięciu kroć stu tysięcy franków, jeśli odmówi zezwolenia na małżeństwo swej córki.

Nazajutrz gazety doniosły, że sędzia, któremu powierzono śledztwo w sprawie morderstwa przy bulwarze Lannes, otrzymał od rzekomego wuja pani Silverof telegram, datowany z Edymburga, a donoszący o natychmiastowym powrocie.

Jakoż po przybyciu, udał się zaraz do sędziego i opowiedział co następuje:

„Pani Silverof nie była właściwie moją siostrzenicą. Poznałem ją przypadkowo, przed pięciu kwartałami na pokładzie okrętu, krążącego pomiędzy Duwrem a Calais. Nie umiała ani po francusku, ani po angielsku; więc jako rodak ofiarowałem się, że jej będę służył za tłómacza.

„Uderzyła mnie jej uroda i skorzystałem skwapliwie ze sposobności, aby wejść z nią w bliższe stosunki. Miała przy sobie dwuletniego synka.

„Zdziwiło mnie, że tak piękna i młoda osoba podróżuje sama, a zdziwiło tembardziej, że sądząc z toalety, wnosiłem, że musi być osobą zamożną. W następstwie dowiedziałem się, że nią nie jest.

„Prosiła mnie, abym jej wskazał hotel, w którym mogłaby się rozmówić po bułgarsku. Zawiozłem ją sam do takiego i nazajutrz przybyłem ją odwiedzić.

„Gdym ją zapytywał, w jakim interesie przybywa i gdzie się osiedli, wybuchła płaczem i wyznała mi, że musi pożyczyć pieniędzy, lub sprzedać klejnoty. Prosiła, abym jej w tem dopomógł.

„Przybywała do Paryża po raz pierwszy i nie znała tam nikogo.

„Nie pozwoliłem jej pozbywać się kosztowności i ofiarowałem się pożyczyć jej tyle przenięgdzy, ile jej będzie potrzeba. Nie chciała przyjąć tej usługi, tłómacząc, że nie wie, czy będzie w stanie uiścić się z długu kiedykolwiek.

(C. d. n.)

dy już nauczył się czytać nuty i mówić po francusku. Wieść o cudownem dziecku doszła do starego profesora muzyki, który zajął się dalszą nauką chłopca i wkrótce mały Józio z wielu listami polecającemi ruszył w podróż na około świata z koncertami. Podróż miała trwać trzy lata. Chłopiec miał wtedy lat dziesięć, występować jednak miał jako dziecko siedmioletnie.

Po trzech latach powrócił Józio do Paryża. Zdobył już sobie sławę wszechświatową, a chciał zdobyć ostatnią twierdzę. Gdy powrócił do Paryża, miał już nasz Józio lat trzynaście, przyznawał się jednak tylko do dziewięciu. Dzięki tym zdolnościom matematycznym, cudowne dziecko oszukiwało wszystkich swoich impresaryów. Widocznie z czasem objawił się w chłopcu i drugi także talent ojca..

W ciągu podróży, Józio wyszedł na prawdziwie cudowne dziecko. Osiągnął już wszystkie zaszczyty tego świata. Najpotężniejsi władcy dalekiego wschodu i drobni książęta Europy środkowej ozdobili jego pierś orderami. Pod wpływem powodzenia Józio i osobiście stał się prawdziwie rozkosznem cudownem dzieckiem.

Pewnego poranku, około godziny dwunastej, jak zwykle, przeraźliwem ziewaniem oznajmił Józio ciotce, która mu zawsze towarzyszyła, że już nie śpi.

— Czy mogę wejść, moje złotko? — pytała słodko ciotka z drugiego pokoju.

— Po kiego licha? — woła Józio. — Wiesz przecie, że starych bab nie lubię.

— Może byś co zjadł, mój aniołku? I mnie się okropnie jeść chce...

— To zjedz djabła i daj mi pokój!

Ulubionym i najczęściej przez Józia używanym epitetem, była „stara małpa“. Nazwą tą chętnie obdarzał swego służącego, który służył mu gorliwie i męczył się nad ubieraniem swego młodego pana, co tymczasem z lubością przymierzał do koszuli ordery.

Prawdziwie zachwycającym był Józio, na estradzie. Od śnieżno białej jedwabnej bluzki, cudownie odbijała śniada twarzyczka o melancholijnych oczach, okolona gęstwą czarnych, jak smoła włosów. Mały wzrost i słaby rozwój fizyczny nie wskazywały na więcej, jak dziewięć lat wieku i nadawały mu prawdziwie dziecięcy powab.

Gdy Józio wystąpił po raz pierwszy w sali Erarda, z pierwszego rzędu krzeseł, zajętego przez same księżniczki, dały się słyszeć głośne okrzyki podziwu.. Grał wtedy koncert Vieux-Temps'a z akompaniamentem orkiestry Lamoureux'a. Gdy stary Lamoureux w jednem miejscu o sekundę opóźnił dźwięki orkiestry, Józio tupnął nogą i syknął.

— Stara małpa!

Lamoureux tego nie słyszał, ale słyszała cała orkiestra i rząd księżniczek. Józio został bohaterem owego dnia.

Co to była za radość, gdy Józio w dwa dni później wystąpił na zebraniu w salonie książąt Valescu. Książęta Valescu była to jedna z najstarszych rodzin rumuńskich. Ród swój wywodzili nietylko od dawnych hospodarów wołoskic, ale i od dawnych Rzymian, zesłanych nad Dunaj.

Książęta Valescu mieszkali znaczną część roku w Paryżu, gdzie zajmowali wspaniały pałac.

Na przyjęcie Józia cały pałac ubrany był bukietami z róż herbacianych.

Księżna, odznaczająca się dobrem sercem i wielbicielka muzyki, przyjęła małego wirtuoza z otwartemi ramionami, chcąc go uściskać serdecznie. Chłopiec odtrącił ją szorstko i zrobiwszy krótki przegląd obecnych dam, podszedł z wyciągniętymi rękoma do młodej i ślicznej margrabiny Torena.

— Czy weźmie mnie pani na kolana?

— Oh, to zachwycający chłopiec — wołały panie — przeczuwa jak pani jesteś muzykalną!

— Niech Bog broni — odpowiedział Józio, tuląc się do pięknej Włoszki z dziecięcą pieszczotą — boję się wszystkich dyletantek, jak morowego powietrza! Pani mi się podoba, to wszystko.

Gdy poczęstowano go cukierkami, jadł je tylko wtedy, gdy cukierek wzięła najprzód do ust margrabina i oddała mu resztę. Nie odrywał oczu od pięknej pani.

— Jak ci się u nas podoba? — zapytała księżna.

— O, bardzo! Jak w menażeryi... Widziałem podobne okazy u Barnuma w Ameryce!

Teraz już wierzyły damy, że Józio jest największym geniuszem w bieżącem stuleciu. Jakby na potwierdzenie tego mniemania, stało się coś niezwykłego...

Stary książe Valescu, który całe swe życie przepędził albo w klubie, albo w swej bibliotece i w przeciągu dwudziestu lat nie pokazał się w salonie księżnej na jej stałych przyjęciach ani razu, wszedł do sali.. I on chciał poznać cudowne dziecko.

Spotkanie księcia z Józiem było fatalne...

Zaledwie pokazała się blada, znużona twarz księcia, z długim wygolonym podbródkiem i siwemi faworytami, Józio, który lubił tylko towarzystwo kobiet, zapytał obojętnie:

— Cóż to za stara małpa?

Damy śmiały się chórem, książe ściągnął gniewnie brwi.

— Ależ Jerzy! — uspokajała męża księżna — przecież nie będziesz brał tego za złe chłopcu? Jest to zachwycające dziecko natury.

— Ach, tak! doskonały chłopiec — wtórowały ze śmiechem panie.

— Tak, doskonały! — mruczał książę, którego śmiech pań gniewał więcej jeszcze, aniżeli obojętność chłopca — brak mu tylko nieco ogłady i tej zaraz nabierze.. Hej, Jean! Nie, nie Jean, Dymitr!

Gdy zjawił się stary sługa, Rumun, książę schwycił cudowne dziecko za majteczki i podając mu przebierającego w powietrzu nogami chłopca, rzekł krótko:

— Dwadzieścia pięć!

— Jerzy! — wołała księżna.

— Co książę robi? — krzyczały damy.

Ale ze starym potomkiem hospodarów nie było rady.

— Jeżeli rzeczywiście ma tylko dziewięć lat — to mu dobrze zrobi, jeżeli zaś ma więcej, jak mi się zdaje, to mu zrobi jeszcze lepiej!

Próżne były protesty Józia i pomimo rozdzierających krzyków jego Dymitr wykonał egzekucyę z jak największą dokładnością.

ROZMAITOSCI.

Gwizdanie na koncertach. Od niedawnego czasu do dobrego tonu w Paryżu należy akompaniować na lepszych koncertach ogrodowych orkiestrze gwizdaniem. Dziwaczną tę modę wprowadzili uczęszczający bardzo licznie na modne koncerty Paillard'a Amerykanie, którzy z zamiłowaniem gwiżdżą. Pewnego wieczora tedy kilku yankesów zaczęło gwizdać w takt granej przez orkiestrę melodyi, która im specyalnie przypadła do gustu, a gdy muzyka ucichła, rozległy się grzmiące oklaski bardziej na cześć gwiżdżących, niż grających. Zachęceni tem powodzeniem, podczas sztuki następnej zaczęli już gwizdać wszyscy obecni Amerykanie, a wynik stąd taki, że Paryżanie ze sfer lepszych, którzy dotąd potępiali gwizdanie, jako nie należące do dobrego tonu, ćwiczą się skwapliwie w tym kunszcie.

Harem contra harem. Podczas jubileuszu sułtańskiego dziwiono się nieobecności chedywa i przypisywano to wpływom dyplomacyi angielskiej. Przyczyna okazała się innej zupełnie natury. Od lat szeregu matka chedywa, a następnie i jego żona zwykły były spędzać lato w jednym ze swoich pałaców nadbosforskich, w pobliżu Bebek. Obie księżniczki zjeżdżały z licznym dworem i ożywiały sezon. Pobyt ich był niemile widzianym przez damy haremu sułtańskiego, zazdroszczące Egipcyankom większej swobody. Kobiety są wszędzie jednakowe i gdy chcą, potrafią sobie zawsze dokuczyć wzajem. Księżniczki egipskie miały wiele nieprzyjemności od swoich koleżanek z nad Bosforu, tak iż wreszcie postanowiły zmienić miejsce letniego pobytu i w roku zeszłym obrały wyspę Rhodos na wilegiaturę. Sprawiło to bardzo niemiłe wrażenie na dworze padyszacha. Zatelegrafowano do generał-gubernatora Archipelagu, aby namówił księżniczki do przybycia nad Bosfor. Namowy okazały się płonnemi. Wówczas wydano rozkaz, aby damy egipskie opuściły wyspę natychmiast. Pomimo usiłowań w celu zmienienia rozkazu, księżne zostały zmuszone do wyjazdu w ciągu 48 godzin. To właśnie spowodowało nieobecność chedywa na uroczystościach jubileuszowych. A zatem i w kraju, gdzie kobiety są ukrywane i więzione, należy także w sprawach publicznych — *chercher la femme.*

Kufry Lady Roberts. W chwili, gdy utrudnienia transportowe w Afryce Południowej były największe, żona marszałka przywiozła z Capetownu do Bloemfonteinu nie mniej, jak 8 wielkich kufrów. Wszyscy dziwili się temu, wszyscy na to sarkali. Tylko lady Roberts mogła sobie pozwolić na coś podobnego. W owym czasie brakło amunicyi, chorzy byli pozbawieni rzeczy najpotrzebniejszych, a kto nie był chorym, ten był nawpół zagłodzonym i nawpół odzianym. Gdy w Bloemfonteinie wezwano kilkunastu ludzi do przeniesienia bagażu z dworca, zapanowało ogólne oburzenie. Nazajutrz rozpakowano siedm kufrów i zawartość ich rozdzielono pomiędzy żołnierzy. Lady Roberts skorzystała ze służących sobie przywilejów, by przemycić najpotrzebniejsze ubranie i pożywienie dla podkomendnych swego męża. Jeden tylko maleńki kuferek zawierał jej garderobę.

Współcześni niewolnicy. W londyńskiem czasopiśmie „Academy“ znany pisarz rosyjski Lew Tołstoj wydrukował krótką przedmowę do zapowiedzianej już nowej swej pracy pod tyt. „O niewolnictwie współczesnem“. Autor pisze, co następuje: „Dziesięć lat temu spis ludności w Moskwie wywołał we mnie szereg myśli i uczuć, które w miarę sił i możności streściłem w broszurze pod tyt. „Co mamy teraz robić? „W końcu 1899 r. postanowiłem przejrzeć jeszcze raz tę kwestyę, przyczem doszedłem do tych samych wyników co i wówczas. Dziś zdaje mi się, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu stałem się bardziej zdolnym do spokojniejszego i bardziej bezstronnego przedmiotu, a ponieważ pragnąłbym jednocześnie połączyć z nim krytykę rozpowszechnionych teoryj, przeto pragnę streścić na nowo swoje poglądy, które doprowadziły mnie do dawnych moich wyników. Mam nadzieję, że poglądy moje przyniosą korzyść tym, którzy pragną określić swoje stanowisko względem społeczeństwa i wyjaśnić moralne obowiązki, wypływające z tego stosunku. W tym celu pracę swoją oddaję do druku. Główną myśl mojej książki zarówno dawnej jak i teraźniejszej stanowi zaprzeczenie kary czyli przymusu. Myśl tę opieram na ewangelii, w której mowa o nadstawieniu drugiego policzka temu, kto cię raz uderzył, co znaczy: „Znoś gwałt, ale na gwałt nie odpowiadaj gwałtem“. Maksyma „nie sprzeciwiaj się złemu“ jest podstawą całej filozofii Tołstoja.

Głosy publiczności.

Oświadczenie.

Z Wiesbadenu otrzymujemy następujące telegraficzne oświadczenie, z prośbą o zamieszczenie:

Rąk moich doszła wydana we Lwowie i energicznie kolportowana broszura, zawierająca szereg najniegodziwszych osobistych przeciw mnie napaści. Ażeby ocenić wartość moralną zamaskowanych inicyatorów broszury, którzy godząc we mnie osobiście, chcieli najwidoczniej ugodzić w *Kraj* a tem samem i w stronnictwo którego *Kraj* jest organem, wystarczy zaznaczyć, że wszystkie podniesione w tej broszurze zarzuty potwarcze były przed 16 laty przedmiotem rozprawy w sądzie honorowym złożonym z profesora Ignacego Baranowskiego jako przewodniczącego i arbitrów stron, Józefa Kościelskiego, członka pruskiej izby panów, Henryka Krajewskiego, prezesa koła adwokatów warszawskich, Aleksandra Oskierki b. redaktora *Ateneum* i Kazimierza Zalewskiego redaktora *Wieku*. Sąd ten po rozpatrzeniu złożonych przez obie strony dowodów i przesłuchaniu świadków, wyrokiem z dnia 24 maja 1884 roku jednomyślnie orzekł że w punkcie głównym zarzuconej winy — wcale nie popełniłem. W innych punktach sąd nie znalazł przekroczeń „przeciw honorowi i uczciwości“ i uznał że wszystkie mi postawione zarzuty „zostały przed arbitrami odparte“.

Ten wyrok jasny i stanowczy był naturalnie moim przeciwnikom wiadomy. Jeżeli mimo to nie zawahali się wyrwać z aktu sprawy niektóre stronice, materyał jednostronny i potwarczy, przez sąd honorowy rozpatrzony i obalony i ogłosić go po kilkunastu latach, jako dowód niezbity przeciwko mnie, to można domyśleć się na co liczyli, na łatwowierność ludzką, na znaną lepkość wszelkiego oszczerstwa, na to wreszcie, że wyrok sądu honorowego w roku 1884 został przez wielu zapomniany a wielu jest nieznany zupełnie. Mam głęboką wiarę, że te wyrachowania zawiodą autorów i inicyatorów broszury i że taktyka prowadzenia walki politycznej bez żadnych moralnych skrupułów potępioną zostanie przez wszystkich ludzi uczciwych, bez względu na to, do jakiego stronnictwa należą.

Erazm Piltz, redaktor *Kraju*.